

Liceum to jeden z najlepszych okresów w życiu i tak też go wspominam. Choć ten etap zakończyłam już 15 lat temu, to często wracam pamięcią do tamtych czasów.

W 1992 roku padł wybór: Zespół Szkół im. Bolesława Chrobrego, Liceum Ekonomiczne.

Po pozytywnych egzaminach wstępnych, otwartym przyjęciu przez dyrekcję szkoły, nadszedł czas, by poznać tych, z którymi będę wspólnie spędzać większość godzin w tygodniu. Na czele 31-osobowej klasy (24 dziewcząt i 7 chłopców) stanęła sympatyczna prof. języka angielskiego, pani Joanna Tracz-Koba, która pomimo tylko rocznego wychowawstwa utkwiała mi głęboko w pamięci. Dalszą opiekę nad nami przejęła prof. geografii pani Alicja Świeżawska. Myślę, że od początku stanowiliśmy zgraną, solidarną i zgodną grupę. Nasi nauczyciele dokładali wszelkich starań, byśmy skorzystali jak najwięcej z przekazywanej nam wiedzy. Dzięki nim krystalizowały się nasze pasje i zamiłowania. I dopiero teraz z perspektywy czasu możemy docenić ich pracę i cierpliwość.

Osobiście, szczególnie wpływ na moje obecne życie wywarło świadectwo naszych katechetów: s. Marii Paluch, s. Danuty Koralewicz, ks. Bogdana Ciska oraz ks. Krzysztofa Szczygielskiego. To oni ukazywali, jak piękne i wartościowe jest życie, gdy jest ono oddane na służbę Bogu i drugiemu człowiekowi. Dzięki ich modlitwie i duchowemu wsparciu, po ukończeniu liceum w 1996, odpowiedziałam TAK na Jezusowe PÓJDŹ ZA MNĄ. Skierowałam za Nim swoje kroki do Zgromadzenia Franciszkańskiego Córek Matki Bożej Bolesnej – Sióstr Serafitek. W czasie formacji zakonnej i po ukończeniu studiów teologicznych, kilka lat dane mi było katechizować i pracować wśród dzieci. Pan oczekiwał jeszcze większego „pójścia na całość” i od 2008 roku staram się wypełniać Jego wolę na afrykańskim kontynencie – na równiku w Gabonie. Posługa ubogim tego świata napawa mnie wielką radością i ukazuje mi bogactwo wiary, miłości, prostoty i zrozumienia.

Dobremu Bogu niech będą dzięki za każdą spotkaną osobę na przestrzeni szkolnych, licealnych lat.

Aneta Dąbek s. Leokadia



Gabon, przekazanie darów dla dzieci i młodzieży



Gabon, wspólne zdjęcie dzieci komunijnych z rodziną i siostrami; s. Leokadia pierwsza z prawej



Gabon, Wielkanoc 2008 r. – bierzmowanie



## Niezbadane są wyroki boskie

Marek Szczęsny  
Absolwent z 1998 r.

Urodziłem się na Śląsku i tam mieszkałem do ukończenia drugiej klasy szkoły podstawowej. Z Leżajskiem związany jestem jednak od najmłodszych lat. Tutaj mieszkali moi dziadkowie, u których spędzałem każde wakacje. Koniec długiej podróży ze Śląska do Leżajska oznaczał zawsze symbol truskawki, który kiedyś stał przy drodze w granicach miasta.

Po przybyciu na stałe do Leżajska rozpocząłem naukę w Szkole Podstawowej nr 4. Szkoła mieściła się w budynkach dawnego Dworu Starościńskiego. Wcześniej była tu siedziba najpierw Miejskiego Gimnazjum Realnego, a później Liceum Ogólnokształcącego. Do tego liceum uczęszczała m.in. moja mama. Z leżajskim liceum pośrednio związany byłem zatem na długo przed rozpoczęciem w nim właściwej edukacji.

Szkolę podstawową, jeszcze wtedy ośmioklasową, ukończyłem w roku 1994 i rozpocząłem swoją przygodę licealną. Ze względu na zamiłowanie do przedmiotów ścisłych wybrałem profil matematyczno-fizyczny, który był wtedy bardzo popularny. Mój rocznik był bodaj pierwszym, kiedy utworzono aż dwie klasy o tym profilu. Muszę nadmienić, iż zanim zdecydowałem się na naukę w liceum, rozważałem edukację w Technikum Elektrycznym w Nisku. Wyboru jednak nie żałuję, a z czasów liceum mam wiele miłych wspomnień. Do klasy uczęszczałem razem z bratem bliźniakiem. Niestety nie byliśmy podobni i nie dało się tego faktu wykorzystać w celach „ulg naukowych”. A szkoda. Brat czuł jednak, bym nie spóźnił się do szkoły. Śmieje się do dziś, mówiąc, że w odpowiednim czasie wystawiał mnie za drzwi z kurtką i plecakiem w rękę. Prawdę mówiąc raz jeden udało nam się nie zdążyć na czas. A to z winy drugiego brata, który zaproponował podwiezienie samochodem i zadziałała tzw. złośliwość rzeczy martwych. Ponieważ mieliśmy troszkę zacięcia informatycznego i nieco chęci do pracy, więc razem z bratem pomagaliśmy panu profesorowi od historii w eksponowaniu zbiorów muzeum. Przepisywaliśmy teksty, skanowaliśmy fotografie, obrazy. Dziś pewnie można by zrobić to dużo łatwiej i szybciej. Wtedy mieliśmy np. do dyspozycji rolkowy skaner ręczny i posklejanie zdjęcia zeskanowanego w kilku kawałkach

wymagało nie lada trudu. Ciężkawo, czy cokolwiek z tej pracy zostało jeszcze po latach?

Do dziś pamiętam też jedną „lekcję życiową”. Jeden z profesorów mówił o recepcie na klótnie w małżeństwie. Jak jedna strona jest zła, to druga nie dolewa oliwy do ognia. Myślę, że takiej cierpliwości brakuje dzisiaj w wielu relacjach międzyludzkich.

Samą maturę miło wspominam, chociaż nie obešlo się bez stresu. Pamiętam, że z racji wielu uczniów egzamin z matematyki pisaliśmy na korytarzu na parterze, a na maturze z języka niemieckiego uśmiełem się do leż, słuchając odpowiedzi kolegi. Jego wypowiedź była płynna nie tylko dlatego, że mówił bez przerw, ale „pływał” i to po wielu tematach.

Po maturze przyszedł czas na studia. Architektura, informatyka, fizyka, ekonomia. W końcu zdecydowałem się na matematykę. W 1998 r. rozpocząłem studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na wydziale Matematyki Stosowanej. Wydział dopiero co powstał i tak też się złożyło, że w jego historii jestem jego pierwszym absolwentem, więc gdy zdawałem egzamin magisterski, nie wiem kto był bardziej przejęty: ja, panie w dziekanacie czy komisja egzaminacyjna.

Zaraz po studiach podjąłem pracę na wydziale, który ukończyłem. Pracowałem jako asystent matematyki, ucząc na różnych wydziałach Akademii Górniczo-Hutniczej przedmiotów matematycznych i informatycznych. W międzyczasie udało mi się uzyskać tytuł doktora nauk matematycznych. Niemalby chyba szokiem dla wszystkich moich kolegów z pracy i dla rodziny było, kiedy to po siedmiu latach pracy naukowo-dydaktycznej i dwunastu latach pobytu w Krakowie zdecydowałem się na wstąpienie do seminarium. Obecnie jestem alumnem Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu i wracam m.in. do filozofii, z którą pierwszy kontakt miałem właśnie w liceum.

Marek Szczęsny



Marek Szczęsny



**B**ył wrześniowy wieczór 1998 roku, wracaliśmy z ogłoszenia wyników II Międzynarodowej Olimpiady Geograficznej w Lizbonie, kiedy Henk – bardzo sympatyczny opiekun drużyny holenderskiej – powiedział do mnie: – Kasia, to pierwsze miejsce zostanie w Twoim CV do końca życia! Zareagowałam zdziwieniem, bo przy całej radości z wygranej, nie wiedziałam, co to jest CV. – Curriculum Vitae, życiorys, zapis Twoich dokonań – powiedział Henk.

Dziś nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć, co to jest CV. Każdy licealista wie, że głównymi elementami życiorysu są edukacja i praca zawodowa. Zgodnie z tym co powiedział Henk, moje CV tak naprawdę zaczęło się od przygody z olimpiadą geograficzną w leżajskim liceum.

### Leżajskie liceum

**N**aukę w LO w Leżajsku rozpoczęłam w 1995 roku, w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Idąc do szkoły średniej nie miałam sprecyzowanych planów co do przyszłych studiów i wiedziałam, że potrzebuję czasu na decyzję. Czas ten gwarantował mi ciesząc się dobrą sławą i zapewniający solidną edukację ze wszystkich przedmiotów „mat-fiz”. Tak też trafiłam do 1 „c”, pod opiekę prof. Haliny Śmiałek. „Uniwersalny” charakter mojej klasy odzwierciedlało także barwne spektrum osobowości i talentów, tak wśród grona profesorskiego, jak i koleżanek i kolegów. Pierwsze dwa lata upłynęły mi na systematycznej nauce ze wszystkich przedmiotów. Szczególną uwagę poświęcałam językowi angielskiemu. W trzeciej klasie liceum dały o sobie znać narastające pragnienie „zrobienia czegoś więcej” i bakcył do geografii, zaszczerpione mi jeszcze w szkole podstawowej. Postanowiłam wziąć udział w olimpiadzie geograficznej.

### Olimpiada geograficzna

**W** pierwszym etapie olimpiady napisałam pracę o wzniesieniu w lesie opodal Brzyskiej Woli. To praktyczne zadanie sprawiło mi wielką frajdę, a przy okazji pozwoliło lepiej poznać rodzinne okolice. Wzniesienie X, bo tak je nazywałam, okazało się być wydmą z czasów epoki lodowcowej, kiedy to silne wiatry

nawiewały piasek z pradolin rzek. Kolejnym etapem były zawody okręgowe w Dębicy, najtrudniejszy etap dla mnie, olimpijskiej nowicjuszki. Tutaj przełomowym momentem okazała się część ustna, gdzie uznanie komisji egzaminacyjnej zdobyłam, omawiając geograficzną charakterystykę państw bałtyckich. Dobre miejsce w okręgu krakowskim kwalifikowało mnie na zawody krajowe. Finał XXIV Olimpiady Geograficznej odbywał się w Lesznie. Ku mojemu zaskoczeniu, po części pisemnej zajmowałam czwarte miejsce. I znów szczęśliwą dla mnie okazała się być część ustna.

Wylosowałam pytanie o Islandię, a Islandia – najmłodszy skrawek Ziemi – była moim „konikiem” i marzeniem podróżniczym. Zawody centralne zakończyłam trzecim miejscem i tytułem laureatki II miejsca. Walkę o drugą lokatę przegrałam o pół punktu z Szymonem. „Porażka” ta była jednak zwycięstwem okręgu krakowskiego, ponieważ Szymon pochodzi z Dębicy. Ku mojej wielkiej radości, wynik ten kwalifikował mnie do udziału w międzynarodowej olimpiadzie geograficznej. Zawody w Lizbonie odbywały się w języku angielskim i miały bardziej praktyczny charakter niż olimpiada w Polsce. Niewątpliwym atutem polskiej drużyny była duża wiedza faktograficzna. Klucz do sukcesu w Lizbonie leżał w umiejętnym łączeniu faktów i rozwiązywaniu problemów. Spośród państw biorących udział w zawodach, okazaliśmy się w tym najlepszi! Na II Międzynarodowej Olimpiadzie Geograficznej w Portugalii wywalczyłam pierwsze miejsce indywidualnie i pierwsze miejsce drużynowo wraz z moimi trzema kolegami.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że olimpiada geograficzna to dla mnie dużo więcej niż udany konkurs. Nie do przecenienia jest to, że spotkałam na niej wyjątkowych ludzi – „młodych geografów” różnych pokoleń, z którymi przyjaźnię się do dziś. Bardzo ważne i miłe były również wyrazy uznania od różnych osób. Doskonale pamiętam serdeczne gratulacje od pana dyrektora Stanisława Bartnika, mojej profesor geografii Ali-



Katarzyna Kwocińska

cji Świeżawskiej i posła Zbigniewa Rynasiewicza, od którego w obecności grona nauczycielskiego dostałam bukiet kwiatów. Takie gęsty zapadają w pamięć! Uczucie ogromnej satysfakcji z odniesionego sukcesu utrwaliło we mnie przekonanie, że warto wytyczać sobie ambitne cele i konsekwentnie dążyć do ich realizacji. Jestem przekonana, że był to punkt zwrotny w moim życiu, który dodatkowo zmotywował mnie do działań edukacyjnych i w dużej mierze zadecydował o mojej przyszłości zawodowej, przyczyniając się w rezultacie do kolejnych elementów mojego życiorysu.

### Moje CV

**T**ytuł laureatki XXIV Olimpiady Geograficznej uprawniał mnie w Polsce do podjęcia studiów bez egzaminów wstępnych. W ten sposób znalazłam się na kierunku stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim. Na czwartym roku rozpoczęłam równoległe studia magisterskie na kierunku gospodarka przestrzenna, uzupełniając wiedzę o świecie wiedzą o Polsce. Ciągłe jednak brakowało mi specjalizacji, i tym sposobem w 2005 roku znalazłam się w Kolegium Europejskim w Brugii, przechodząc przez gęste sito egzaminu po angielsku i francusku. Roczne studia o Unii Europejskiej w Belgii, możliwe dzięki stypendium Rządu Polskiego, okazały się być bardzo intensywnym i inspirującym doświadczeniem. Kolegium jest miniaturą Europy. Na moim roku studiowało 270 osób z 40 krajów i to od moich koleżanek i kolegów nauczyłam się najwięcej. Kolegium Europejskie nie bez przyczyny określa się mianem „kuźni urzędników unijnych” i ja jestem tego potwierdzeniem. Po studiach w Brugii byłam przez rok asystentką Posła do Parlamentu Europejskiego, a od czterech lat pracuję w Brukseli w Komisji Europejskiej w Dyrekcji Generalnej Spraw Wewnętrznych. Egzamin na urzędnika unijnego był dużym wyzwaniem. Przygotowywałam się do niego ponad rok. Doświadczenia „olimpijskie”, praktyka i dyscyplina wypracowane w liceum, a potem na studiach, na pewno wiele mi pomogły. Przetestowana na olimpiadzie geograficznej zasada chcieć to móc sprawdzała się z każdym nowym wpisem do mojego CV.

Dzisiaj realizuję się w ciekawej pracy, w międzynarodowym środowisku. Spełniam też i inne marzenia – w ubiegłym roku podróżowałam po Islandii i muszę powiedzieć, że moja geograficzna pasja z czasów olimpiady i liceum okazała się być w pełni uzasadniona. Islandia zachwyca!

### Między wierszami CV

**C**o sprawiło, że wygrałam Olimpiadę? Przede wszystkim, po prostu bardzo chciałam w niej wziąć udział, bo geografia mnie pasjonowała. Właśnie na tę pasję postanowiłam przeznaczyć moją energię, nie rozdrabniając się za bardzo na inne zajęcia. Ponadto sumiennie pracowałam na tę wygraną. Ułożyłam plan nauki i tego planu się trzymałam. Wielką frajdę sprawiło mi poczucie, że poszerzam swoją wiedzę i więcej rozumiem z otaczającego świata (wspomniany przykład Wzniesienia X). Ważne było i to, że znałam dobrze język angielski, dzięki czemu w ogóle mogłam wziąć udział w olimpiadzie międzynarodowej. Zrozumiałam wtedy, że język to nieodzowne narzędzie pracy – decyzja o zdawaniu certyfikatu z języka jeszcze w liceum opłaciła się po wielokroć!

Mocno wierzę, że każdy z nas jest kowalem swego losu, przy czym naturalnie potrzebne jest też trochę szczęścia, któremu jednak trzeba wychodzić naprzeciw. Moje szczęście polegało też na tym, że miałam odpowiednie warunki do nauki, tak w szkole, jak i w domu. Po prostu i aż, pozwolono mi robić swoje, za co jestem bardzo wdzięczna.

Ta recepta na sukces sprawdzała się na każdym kolejnym etapie zapisywania mojego życiorysu i jest między wszystkimi wierszami mojego CV. Czym byłyby jednakże sukcesy, gdyby nie było ich z kim dzielić? Między wierszami kryją się wspomniani ludzie, których spotykam na swojej drodze – rodzina i przyjaciele przede wszystkim. To oni mnie wspierali i wspierają, uczyli i uczą, inspirowali i nadal inspirować, to z nimi miło spędzam czas i to oni właśnie współtworzą moje CV.

Sądzę, że czas przeznaczony na przeczytanie mojej historii wspomnieniowej nie będzie czasem straconym i wywoła choćby uśmiech. Mam także cichą nadzieję, że może się stać bodźcem dla moich młodszych kolegów – obecnych i przyszłych licealistów – do wytyczania swojej drogi życiowej w myśl przytoczonej już zasady chcieć to móc. Myślę, że moja historia wspomnieniowa jest uniwersalna, bo każdy z nas przecież pisze CV na własną miarę. Wszystkim, jak i sobie, życząc zatem chęci, pasji, przemyślanych decyzji i dobrych ludzi wokół. Opowiemy sobie o tym wszystkim na kolejnym jubileuszu leżąskiego liceum.

Katarzyna Kwiecińska



4 września 1995 – pierwszy dzień zajęć w nowej szkole. Czy można w takiej sytuacji się spóźnić? Okazuje się, że tak. Jest dobrych kilkanaście minut po dzwonku. Zajęcia odbywają się po południu, więc tłumaczenie, że zasnęłam, raczej odpada. Nie jestem sam na szczęście. Razem z kolegą niepewnie otwieramy drzwi, na których wisi tabliczka z cyfrą trzy, wchodzimy do klasy, a następnie uśmiechając się przepraszamy za spóźnienie. Wtedy pada jakieś pytanie – w języku, w którym ani on, ani ja nie potrafimy się komunikować. Oczywiście, zapomniałem, że dzień zaczyna się od lekcji angielskiego. Ponieważ domyślam się, o co pyta nauczyciel, próbuję odpowiedzieć. Z moich ust pada jedno słowo, jednak nie to, które powinien. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, przecież pomimo braku znajomości języka podstawowe zwroty siedzą gdzieś tam w głowie. Klasa reaguje śmiechem. Zaraz, dlaczego się śmieją, co ja takiego powiedziałem?

„Do you speak English?” – „Nein”

Tak zaczęła się nowa, czteroletnia przygoda – czas, do którego po latach często wracam pamięcią. Najpierw długie jesienne i zimowe wieczory, przerywane regularnie głośnie brzmiącym dzwonkiem. Nowe koleżanki, koledzy, nauczyciele. Pierwsza ławka na lekcjach biologii i ostatnie rzędy na fizyce i chemii. Zajęcia, które czasami bardzo się dłużyły, a niekiedy mijały wręcz błyskawicznie. Dni oczekiwane z bijącym sercem i takie, o których sama już myśl wywoływała uczucie niepewności. Wytrwałość i cierpliwość naszej wychowawczynie w rozwiązywaniu problemów, które jakoś tak nam się przytrafiały. Nowe wyzwania i doświadczenia, ale też nowe problemy. Zmiana dotychczasowych rytuałów i przyzwyczajęń, niekiedy mocno utrwalałnych i bardzo wygodnych. W zamian nowe możliwości, ciekawi ludzkie w ławkach obok i przyjaźnie, które trwają do dziś.

Kilkanaście boksów, każdy z nich zamknięty na kłódkę. Wewnątrz nasze kurtki i buty, które co rano przykładnie zamieniamy na obowiązkowe w szkole miękkie kaptcie. Codziennie rano ten sam rytuał – odebrać klucz, podpisując się na liście, otworzyć kłódkę, poczekać, zamknąć. Kolejna przerwa, ktoś się spóźnił – otworzyć, poczekać, za-

**Tomasz Szuka**  
– jeden z absolwentów pierwszej w historii szkoły klasy o profilu matematyczno-informatycznym.

Swoje zainteresowania naukami ścisłymi, elektroniką i programowaniem postanowił rozwijać w ramach studiów na kierunku Informatyka w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Absolwent Wydziału Elektrotechniki Automatyki Informatyki i Elektroniki (EAiIE) AGH, 2004 r.

Obecnie pracuje w międzynarodowej firmie produkującej sprzęt dla operatorów telefonii komórkowej, koordynując prace zespołu tworzącego oprogramowanie dla systemów łączności 4G – LTE.



mknąć. Szatnie. Czy naprawdę tak to musi wyglądać? Wielkimi krokami zbliża się XXI wiek, więc może najwyższa pora żeby „dyżurnego klucznika” zastąpiła nowoczesna technika. Trochę przesadam z tą nowoczesnością. Całością sterował wysłużony, do niczego innego za bardzo nienadający się już komputer. Do tego trochę zrobionej w domowych warunkach elektroniki, setki metrów kabli i zamki magnetyczne. Ponadto długie wieczory przy komputerze, aby to wszystko oprogramować, a w końcu przydzielić uczniom numery i wydrukować dla nich karty. Po blisko miesiącu testów, nadchodzi wielki dzień – uruchamiamy sterowanie dla wszystkich szatni. Zadziałało! Oczywiście, na początku były drobne zgryzty, ale z czasem wszystko zaczęło funkcjonować w miarę sprawnie. Niestety, dopiero po fakcie zdaliśmy sobie sprawę, że dzięki temu przestała działać najlepsza metoda na chwilowe zerwanie się z lekcji – „dyżurny z kluczem proszony do szatni...”. Patrząc na ten projekt z perspektywy kilkunastu lat, inżynierskim już teraz okiem, muszę przyznać, że pomimo braku doświadczenia poszedł nam zaskakująco gładko. Oczywiście kluczem do sukcesu była nie tylko praca naszego niewielkiego zespołu, ale motywacja i pomoc ze

strony opiekuna tego przedsięwzięcia oraz kredyt zaufania jaki dostaliśmy od dyrekcji. Największą radość sprawiło mi, kiedy po wielu latach od ukończenia szkoły usłyszałam, że system w niewielkim stopniu zmodyfikowany ciągle funkcjonował.

Czasem motywacja nie wynika z chęci zrobienia czegoś konkretnego. Zdarza się, że jakaś nieznaną siłą popycha nas w pewnym kierunku, a później okazuje się, że to jest to! Wtedy człowiek zadaje sobie pytanie, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Tak właśnie było z „Chroberkiem”, reaktywowaną po przerwie gazetką szkolną, w której redakcji znalazłem się zupełnie przypadkiem. Zaczęło się od drobnej pomocy przy niedziałającej kserokopiarce czy komputerze. Później było przepisywanie tekstów, składanie materiałów do druku, w końcu własne teksty i zdjęcia. Ani się obejrzałem, kiedy wciągnęło mnie to tak bardzo, że w redakcji spędzałem nie tylko wszystkie przerwy, ale także sporo czasu przed i po lekcjach. Dla ścisłości, wcale nie dlatego, że gazetka wymagała aż takiego zaangażowania. Po

prostu bardzo lubiłem to miejsce i jestem pewien, że inni także za nim przepadali. Nasza „kanciapa”, niewielkie pomieszczenie tuż przy szkolnej auli, miała w sobie coś magicznego, coś, co przyciągało ludzi. Chociaż, nie, to nie tak. To ludzie, którzy tam pracowali i bywali tworzyli tę wspaniałą atmosferę. Pełne zaangażowania, pasji, a zarazem bardzo wesołe i otwarte towarzystwo. Zaprzyjaźnieni nauczyciele, którzy przychodząc na herbatę przynosili ze sobą ciastka. To tam zrodziło się wiele pomysłów, bardziej i mniej udanych. Niektóre z nich w pełni zrealizowane, a niektóre tak absurdalne, że o ich urzeczywistnieniu nie mogło być mowy. Do dziś trzymam w szafie kilkanaście numerów „Chroberka” – efekt wspólnej pracy całego zespołu.

Czas biegnie do przodu, a z każdą kartką kalendarza stajemy się coraz starsi. Ważne jednak, by pamiętać i wspominać to co dobre. Dziękuję Wam wszystkim za te wspomnienia.

*Tomasz Sztuka*

## „A jednak fizyka...”

*Kamil Kisielewicz  
Absolwent z 2000 r.*

Naukę w Zespole Szkół im. Bolesława Chrobrego w Leżajsku rozpocząłem w 1996 roku w klasie o profilu matematyczno-fizycznym, której wychowawcą został prof. Janusz Konior. Do tejże klasy trafił ze mną tylko jeden kolega z mojej szkoły podstawowej (szkoła podstawowa nr 4) – Tomasz Maryńczak. Pozostałych kolegów i koleżanek wcześniej nie znałem. Od samego początku prof. Konior otoczył nas ojcowską opieką, przedstawiając kilka przdatnych rad, jak się zaaklimatyzować w całkiem nowym otoczeniu, z nowymi koleżankami i kolegami, oraz z nowymi obowiązkami. Po miesiącu wspólnej nauki wychowawca zorganizował nam sobotnią wycieczkę integracyjną do malowniczego Kazimierza nad Wisłą. Wspominam to bardzo ciepło.

Jak to zwykle bywało, pod koniec roku szkolnego nastąpił sezon na wycieczki szkolne. Pojechaliliśmy i my. Kierunek: Kudowa, Góry Stołowe. Ilekroć mam okazję teraz tam być, tylekroć przypominam sobie o naszej wspólnej licealnej

wyprawie, która to jednak okazała się naszą pierwszą i ostatnią z kalendarza planowych wycieczek szkolnych. Daliśmy popalić naszym opiekunom, oj daliśmy. Los tak sprawił, że do klasy 1 „c” pod opiekę prof. Koniora trafiło wiele niesamowitych osób o szalonych pomysłach. Tworzyło to w konsekwencji mieszankę potencjalnie wybuchową, która w odpowiednich okolicznościach eksplodowała z wielkim hukiem. Pomimo iż dawaliśmy popalić naszemu wychowawcy, prof. Koniorowi, ten starał się załatwiać owe psotliwe sprawy sam. Nie wzywał za każde „byłe co” naszych rodziców. Gdy postanowiliśmy pójść na wagary, on wiedział, gdzie nas szukać, w którym mieszkaniu i u kogo.

Tak się stało, iż jako fizyk, prof. Konior uczył nas także tego przedmiotu. Bardzo dużą wagę przykładł do zadań rachunkowych, które jak wiedział, są podstawą w przyszłości na studiach. W soboty organizował kółko fizyczne, na które uczęszczało wiele osób z różnych oddziałów, roczników. Uczęszczałem i ja. Pozwoliło mi to rozwijać moje





Klasa 1 „c”, wychowawca: Janusz Konior

zainteresowania związane z fizyką, które przejawiały się już w szkole podstawowej. Co roku brałem udział w organizowanych przez prof. Koniora letnich wyjazdach na dni otwarte Instytutu Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tam miałem okazję zobaczyć, jak naprawdę wyglądają profesjonalne uniwersyteckie laboratoria. Wywarło to na mnie niesamowite wrażenie: lasery, pompy do ultrawysokiej próżni, hologramy, superkomputery, mikroskop sił atomowych. Pamiętam, że za każdym razem wracając z Krakowa, odwiedzaliśmy opactwo Benedyktynów w Tyńcu. Pewnego razu, wiedząc, że nasz profesor od fizyki buduje koło domu skalniak, zrobiliśmy mu niespodziankę i załadowaliśmy cały bagażnik autokaru skałami (kamieniami) z podnóża góry opactwa. Niech żaluje ten, kto nie widział wtedy jego miny.

Wrz z kilkoma kolegami z liceum w drugiej klasie wystartowałem w wojewódzkim konkursie z fizyki II klas, który odbył się w Rzeszowie. Znaczna część z nas została wtedy finalistami tegoż konkursu. Zająłem, o ile dobrze pamiętam, 4. lub 6. miejsce. Wszyscy się dziwili, jak to jest możliwe, aby większość finalistów wojewódzkiego konkursu była z jednego małego miasteczka i to na dodatek z jednej szkoły. Mało prawdopodobne, ale możliwe, bo jak widać stało się.

Zapadł mi w pamięci konkurs prac doświadczalnych z fizyki organizowany przez Wydział Fizyki Uniwersytetu Rzeszowskiego. Z kolegą Tomkiem Maryńczakiem pod opieką prof. Koniora zbudowaliśmy urządzenie alarmowe z syreną dużej mocy, do zastosowania w budynkach, mieszkaniach, z czujnikami umieszczonymi w futrynach drzwi i okien. Mieliśmy z tym jeden

problem. Nie mogliśmy doposażyć impedancji głośnika do współpracującej elektroniki, co powodowało czasami zawieszanie się głośnika. Trzymaliśmy kciuki, aby podczas oceny urządzenia przez komisję zadziało ono poprawnie. Udało się. Zostaliśmy finalistami. Pojechalśmy na uczelnię aby wziąć udział w finale. Przygotowaliśmy piękny plakat ilustrujący działanie i zastosowanie naszego urządzenia. W prezentacjach finałowych wzięło udział 10 zespołów w tym i my. Prof. Konior zorganizował wyjazd na finał kilkoma samochodami! Po prezentacji pracy w auli uniwersyteckiej, przed dziesiątkami osób, wreszcie odprężeni zajęliśmy miejsca koło naszych kolegów i koleżanek z klasy. Słuchaliśmy pozostałych wystąpień finalistów konkursu. Wtem niespodziewanie zabrzmiała syrena, nasza syrena, z naszego systemu alarmowego! Jeden z naszych kolegów postanowił podłączyć ją do gniazdka i zobaczyć co się stanie. W jednej chwili cała uwaga zgromadzonych w auli skoncentrowała się na ławy, w których siedzieli uczniowie naszego liceum. Widząc szamoczącego się z naszym „wynalazkiem” kolegę, cała sala zareagowała śmiechem. Nasz alarm o dziwo zadziałał po raz kolejny. Takie komiczne sytuacje sprawiają, że niektóre wydarzenia naszego życia zostają nam w pamięci i często do nich wracamy, miło je wspominając.

Zachęcony przez profesora Koniora, uczestniczyłem także w olimpiadzie fizycznej. Najpierw, jak to zwykle bywało, w etapie międzyszkolnym, oraz kolejno w etapie okręgowym.

Bardzo miło wspominam profesora Ryszarda Górniewicza, który czasami mówił do mnie Mariusz (tak ma na imię mój ojciec – którego zresztą także historii uczył prof. Górniewicz). Przed zajęciami z historii każdy się pilnie uczył, czekając na przyjęcie profesora przed drzwiami klasy – muzeum szkolnego. Do muzeum wchodziło się przez szkolną aulę, gdzie były rozstawione stoły do tenisa stołowego. Czasami wybierałem z którymś z kolegów grę w tenisa jako alternatywę pomiędzy wiedzy przed zajęciami z historii. Zobaczywszy wchodzącego do auli profesora, szybko chowaliśmy rakiety. Wtem niespodziewanie on zabrał raketkę od mojego kolegi mówiąc: „Kisielewicz! Gramy! Jak przegrasz, dostajesz jedynekę, jak wygrasz, wpiszę ci sześć”. Pomyślałem sobie dobrze, zagramy. Przecież belfer nie ma ze mną szans. Stało się... przegrałem. Nie dostałem jednak jedynek, ale była to dobra lekcja pokory.

Pewnego razu prof. od historii namówił nas do uczestnictwa w olimpiadzie filozoficznej. Filozofia



była dla mnie na początku czymś zupełnie obcym. Nie było przecież takiego przedmiotu w szkole. Perspektywa wczytywania się w „Historię filozofii” Tatkiewicza nie napawała optymizmem. Próba nie strzelba – pomyślałem i się zgodziłem. Najpierw praca pisemna na zadany temat. Jeździliśmy do biblioteki uniwersyteckiej do Rzeszowa, aby znaleźć jakieś materiały w owej tematyce. Pisanie pracy – parę dni spędzonych w domu na szperaniu, szukaniu i redagowaniu. W końcu nadeszły wyniki. Udało się. Jedziemy do Rzeszowa na etap II. Znowu rozprawa na zadany temat – tym razem pod „opieką komisji”, bez „pomocy naukowych”. Znowu oczekiwanie, wyniki i... udało się. Dalej finał okręgowy. Moją licealną przygodę z filozofią zakończyłem uzyskując tytuł finalisty eliminacji okręgowych.

W czwartej klasie, jak większość moich koleżanek i kolegów, podjąłem przygotowania do egzaminów wstępnych na studia. Chciałem zostać

lekarzem, więc uczyłem się do testu z biologii, chemii i fizyki. Jak to jednak w życiu bywa, zabrakło mi punktów i nie zostałem przyjęty na wydział lekarski do Krakowa. Rozpocząłem więc studia na kierunku „awaryjnym” z fizyki medycznej na Wydziale Fizyki i Techniki Jądrowej AGH w Krakowie.

Większość z nas na pierwszym roku to „niedobitki” z akademii medycznej. Każdy chciał inaczej, a wyszło jak wyszło. Studia na AGH zaczęły mnie powoli wciągać. Ciekawe przedmioty z pogranicza medycyny i techniki, sztuczne narządy wewnętrzne, radioterapia, dozymetria, symulacje monte carlo dla promieniowania jonizującego w radioterapii. Po skończeniu fizyki medycznej podjąłem staż w Zakładzie Radiologii i Diagnostyki Obrazowej Szpitala Wojewódzkiego Nr 2 w Rzeszowie. Po roku postanowiłem powrócić do Krakowa, by związać się także z pacą naukową.

Kamil Kisielewicz

## Absolwentka klasy matematyczno-informatycznej

Katarzyna Zawisza (Cichorz)  
Absolwentka z 2001 r.

Do Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego w Leżajsku uczęszczałam w latach 1997–2001. Byłam uczennicą klasy „d” o profilu matematyczno-informatycznym.

Początki w nowej szkole były różne, natrafiłam na nowe środowisko i nowe wyzwania. Nauczyciele też okazali się różni, mieli różne wymagania i odmienne kryteria oceny. Szczególnie trudno było na lekcjach fizyki, zwłaszcza na początku, kiedy nikt nie rozumiał, o co tak naprawdę chodzi w tych wszystkich wzorach i zależnościach, ale z drugiej strony wycieńnienie dawały lekcje historii, w czasie których mogliśmy usłyszeć niezapomnianą interpretację wydarzeń z „zamierzchłych czasów”. Nad wszystkim czuwał nasz wychowawca, dyrektor Stanisław Bartnik. Z perspektywy czasu wspominam ten okres bardzo miło. Moją rodzinną miejscowością jest Gózd Lipiński. Do liceum było za daleko na dojeżdżanie, więc zamieszkałam w internacie. Sytuacja taka dawała nowe możliwości, nie tylko bliższego kontaktu z koleżankami i kolegami, ale także możliwość lepszego poznania Leżajska i

jego mieszkańców. W tym czasie nawiązałam wiele kontaktów, zawiązałam przyjaźnie, z których część przetrwała do dnia dzisiejszego. Liceum to okres kształtowania, podejmowania pierwszych bardziej samodzielnych decyzji. W moim życiu niemalą rolę odegrali nauczyciele matematyki pani Anna Suszyło i pan Michał Karp. To oni zaszczepili we mnie zainteresowanie tą dziedziną i sprawili, że logiczne i analityczne rozwiązywanie problemów sprawiło mi dużą przyjemność. W dużej mierze dzięki nim zdecydowałam się następnie wybrać na studia matematyczne i poświęcić tej dziedzinie kolejne 5 lat.

W 2006 roku ukończyłam studia na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzyskując dyplom magistra matematyki. W kolejnym roku rozpoczęłam pracę w Katedrze



Katarzyna Zawisza  
(Cichorz)





Epidemiologii i Medycyny Zapobiegawczej Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum, gdzie obecnie pracuję na stanowisku asystenta. Jestem autorem i współautorem kilku prac naukowych oraz krajowych i zagranicznych doniesień konferencyjnych. Zdobyłą wiedzę matematyczną wykorzystuję przy zaawansowanych narzędziach

analizy danych z badań naukowych. Biorę udział w międzynarodowych projektach badawczych. Pracuję nad własną dysertacją doktorską.

Jestem również szczęśliwą żoną i mamą przeuroczych 4-letnich bliźniaków: Mareczka i Rafalka.

*Katarzyna Zawisza (Cichorz)*

## Z rodzinnej tradycji

*Aleksandra Panocha (Kurowska)  
Absolwentka z 2001 r.*

Kiedy w 2010 r. rozpoczęłam pracę jako nauczyciel języka niemieckiego w Zespole Szkół Licealnych im. Bolesława Chrobrego w Leżajsku, ogarnęło mnie uczucie dumy i wzruszenia. Nie tylko z powodu, iż sama jestem absolwentką tego liceum, ale również dlatego, że moja rodzina w szczególnie sposób związana jest z tą placówką i na zawsze wpisała się w karty historii tej szkoły. Wywodzę się z rodziny nauczycielskiej, która od prawie stu lat przekazuje wiedzę i mądrość życiową młodzieży.

Moja prababcia Maria Depowska, z domu Kisielewicz, była jedną z pierwszych absolwentek liceum (matura 1920 r.). Już wtedy nauczycielem języka polskiego, a w latach także 1919–1968 języka rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego, wychowania fizycznego, propedeutyki filozofii oraz logiki był mój pradziadek Józef Depowski, który w latach 1928–1930 pełnił również funkcję dyrektora szkoły. Pradziadko był cenionym i bardzo wymagającym pedagogiem oraz autorem kilku tomów przemówień i opracowań dotyczących dziejów Leżajska. Irena Kurowska, córka Józefa Depowskiego, a moja babcia, ukończyła liceum w systemie tajnego nauczania i zdała maturę podczas okupacji hitlerowskiej w 1944 r. Po ukończeniu botaniki na Uniwersytecie Poznańskim długie lata była nauczycielem w szkole podstawowej, również przez krótki okres uczyła geografii i zoologii w naszej szkole. W 1943 r. brat babci, mój wujek – Stanisław Depowski zdał małą maturę w tajnym nauczaniu na szczeblu gimnazjum. Wujek jest obecnie doktorem habilitowanym w zakresie Geologii Poszukiwawczej Złóż Ropy

Naftowej i Gazu Ziarnego oraz profesorem zyczącym w Instytucie Geologicznym w Warszawie i Uniwersytecie Warszawskim. Był również głównym geologiem kraju w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Drugi brat babci, Jerzy Depowski również wpisał się do historii szkoły jako jej absolwent (matura 1959 r.) oraz krótkim epizodem nauczania języka polskiego w latach 70. Mój dziadzio Tadeusz Kurowski, mgr inż. leśnik, ukończył nasze liceum z wyróżnieniem (matura 1938 r.) i długie lata pracował jako nauczyciel w Technikach Leńnych w Goraju, Krasiczynie i Biłgoraju. Mój tato Bogumił Kurowski oraz jego rodzeństwo – siostra Anna Kurowska-Magiera (nauczyciel j. polskiego w ZST im. T. Kościuszki w Leżajsku w latach 1984–1998) i brat Zygmunt Kurowski dzięki wiedzy osiągniętej w naszej szkole ukończyli studia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Absolwentami naszego liceum jest również moje rodzeństwo – Mateusz Kurowski i Jolanta Kurowska, moja siostra cioteczna Dobrawa Magiera-Kulka (wykładowca na Uniwersytecie Rzeszowskim) oraz mój wujek Bogumił Depowski.

Moim mentorem na gruncie pedagogicznym i wychowawczym jest moja mama, Maria Kurowska, absolwentka Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, która od 27 lat uczy w liceum wychowania fizycznego. Jako młody nauczyciel z chęcią korzystam z jej rad i ogromnego doświadczenia w szkolnictwie. Wysoko podniesiona poprzeczka zmusza mnie do jak najlepszego wykonywania obowiązków nauczyciela. W swojej pracy dydaktycznej i w kontaktach z powierzoną mi młodzieżą,



zawsze powtarzam im piękną maksymę rzymską, która jest również dewizą szkoły: *Non scholae, sed vitae discimus*.

Bardzo bym chciała, żeby w przyszłości ktoś z mojej rodziny podtrzymał naszą już prawie stule-

nią tradycję nauczania właśnie w tej szkole i kiedy pierwszy raz przekroczy próg liceum jako młody nauczyciel, poczuł radość połączoną z dumą, tak jak ja dwa lata temu, kiedy zaczynałam tu pracę.

*Aleksandra Panocha (Kurowska)*

## Nauczyciel z pasją

Ludwik Hirszfeld powiedział kiedyś: „kto chce zapalić innych, sam musi płonąć”. Coś bardzo ważnego jest w tym zdaniu, bo chyba tylko ludzie z pasją potrafią zarazić innych tym, co robią. Myślę, że słowa te można odnieść do mojego nauczyciela matematyki z liceum.

Michał Karp to nauczyciel, którego się nie zapomina, to nauczyciel z pasją. Potrafił nie tylko rzetelnie przekazać wiedzę, ale także budzić w swoich uczniach zainteresowanie przedmiotem, którego nauczał. Na naszych lekcjach matematyki panowała dobra atmosfera, profesor potrafił rozluźnić klimat stosownym żartem. Był osobą niezwykle cierpliwą i wyrozumiałą, pozwalał nam poprawiać gorszą ocenę ze sprawdzianu czy kartkówki. Zależało mu, aby każdy z nas dobrze opanował każdą partię materiału. Wszyscy dostrzegaliśmy jego poświęcenie i zaangażowanie, aby dobrze przygotować nas do egzaminu dojrzałości. Przed maturą rozwiązywaliśmy mnóstwo zadań, prowadził dla nas dodatkowe lekcje w soboty. Dzięki jego wysiłkowi ja, jak i moi szkolni koledzy i koleżanki, bez trudu zdaliśmy pisemną i ustną maturę z matematyki na bardzo wysokie oceny, co w znacznym stopniu ułatwiło nam kontynuowanie nauki.

Prawie wszyscy z mojej klasy (profil mat-inf, matura 2001) skończyli studia wyższe, w większości

były to kierunki techniczne. Na trzydziestosiedmio osobową klasę aż pięć osób zdobyło tytuł magistra matematyki. Dziś, patrząc z perspektywy czasu, myślę, że to też m.in. zasługa naszego kochanego nauczyciela matematyki z liceum. Wiadomość, że profesor Karp nie żyje wywołała leżkę w oku niejednego z nas.

Pan Michał Karp jest dla mnie autorytetem nauczyciela. Zaszczepił we mnie bakcylię matematycznego. W 2006 r. skończyłam studia matematyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a od 2007 r. pracuję jako nauczyciel matematyki w szkole ponadgimnazjalnej. Choć podstawa programowa się zmieniła i zbiór zadań z matematyki to już nie tylko autorstwa Dróbka, Szymański, to często zastanawiam się, tłumacząc dane zagadnienie moim uczniom, jak zrobiliby to mój nauczyciel matematyki. Chciałabym tak jak profesor Michał Karp umieć pasją do matematyki „zarazić” swoich uczniów.

*Luiza Pałys*

*Absolwentka z 2001 r.*



*Luiza Pałys (Dąbek)*

*Luiza Pałys*

